

Wspomnienie o Elżbiecie Barbarze Galczenko absolwentce ostatniej klasy łacińskiej 1963r. Liceum Ogólnokształcącego w Szczytnie

Stefan Żagiel

dziennikarz Tygodnika Ciechanowskiego

Wprowadzenie

Przytaczam *Wspomnienie o prawdziwym człowieku* autorstwa Stefana Żagla dziennikarza Tygodnika Ciechanowskiego o naszej koleżance z klasy łacińskiej *Elżbiecie Galczenko*. Wspomnienia napisane zostały przez pana Stefana Żagla i opublikowane w numerze 5 TC (Tygodnik Ciechanowski) w 2008 roku. Przypadkowo znalazła je w internecie nasza młodsza koleżanka z liceum siostra Marysi Żebrowskiej, a rozpowszechniła wśród nas Ela Żebrowska koleżanka z klasy Eli. Wspomnienia dotyczą okresu Jej pracy w Ciechanowie, dlatego należy się jeszcze kilka słów wprowadzenia dotyczącego okresu wcześniejszego.

Elżbieta Galczenko (po mężu Ulatowska) – absolwentka ostatniej klasy łacińskiej 1963r. Liceum Ogólnokształcącego w Szczytnie po maturze ukończyła Akademię Medyczną w Białymstoku. Przez kilka lat pracowała jako lekarz pediatra w Przychodni w Szczytnie. Po kilku latach pracy w Szczytnie Państwo Ulatowscy przenieśli się do Ciechanowa, ponieważ Janusz, mąż Elżbiety, objął tam jedno z kierowniczych stanowisk w Wojewódzkim Biurze Geodezji (Ciechanów był w latach 1975-1998 miastem wojewódzkim). Ciechanowski okres życia Eli i jej zaangażowanie w pracy zawodowej omawia w bardzo ciepłych słowach przytoczony niżej artykuł. (Stefan Jaworski, kolega z klasy Eli, absolwent LO 1963r)

Wspomnienie o prawdziwym człowieku

Elżbieta Ulatowska nie żyje już dziesięć lat. I właściwie mieszkańcy Ciechanowa zapomnieli o takiej lekarce, specjalizującej się w pediatrii, a więc leczącej dzieci. Dorosłych leczyła z konieczności, jej mali pacjenci dziś są w większości ludźmi dorosłymi, którzy chwile dziecięcych chorób, a więc niezbyt przyjemne, wykreślili z pamięci. Ale w ludziach, którzy dobrze znali doktor Ulatowską – a do takich się zaliczam, jako jej sąsiad – zawsze „tkwić” będzie pamięć o tej zwyczajnej i jednocześnie niezwyklej kobiecie, pełnej ciepła i serdeczności, która leczyła swych pacjentów lekami i własną dobrocią, sercem, i właściwie do ostatnich chwil żyła dla innych. Była człowiekiem niezwyklej dobroci, niezwyklego humanizmu i wyrozumiałości. Kochała przyrodę, a przede wszystkim ludzi. Takimi, jakimi są.

Kilka epizodów, zapamiętanych przeze mnie, pozwoli łatwiej scharakteryzować tę niezwyklej lekarce. Jeździła po podciechanowskich wioskach, a nawet chodziła, opiekowała się noworodkami, ciężarnymi kobietami. Czasami nawet zanosila im upieczone przez siebie ciasto. Bywało, przyjmowała w domach porody, a nawet chrzcila nowo narodzone dzieci, gdy miały nikłe szanse przeżycia. Opowiadała kiedyś: Zdarzyło mi się właśnie chrzcic dziecko. Pytam rodzinę, jakie imię mam mu „nadać”. A oni mówią: Axel. Aksel? Niech będzie Axel, ale to jakieś niezbyt chrześcijańskie imię.

Doktor Ulatowska angażowała się we wszystkie trudne, ludzkie sprawy, rada ludziom nieba przychylić. Przyszła kiedyś do mnie, a było to gdzieś w połowie lat osiemdziesiątych, i jak to ona,

zaczęła: Stefan, jesteś dziennikarzem, ludzie cię cenią, pewnie będziesz mógł pomóc w tej sprawie.

Sprawa była rzeczywiście skomplikowana. Jeden z jej pacjentów Zbyszek J., zresztą chłopiec z osiedla, cierpiał na ciężką chorobę nerek. Większość czasu spędzał w Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie i na dializach. Nie mógł chodzić do szkoły, a był już wtedy w ósmej klasie, a więc powinien kończyć podstawówkę. Z racji jego nieobecności i braku ocen Rada Pedagogiczna Szkoły nr 5 uznała, że nie dostanie on świadectwa ukończenia szkoły. Ulatowska się o tym dowiedziała i tak sobie wymyśliła, że jeśli ja pójdę i poproszę, to jemu to świadectwo dadzą. On i tak najpewniej umrze, a jakby tak dostał to świadectwo, to może uwierzyłby bardziej w ludzi, że są mu życzliwi, że o nim pomyśleli i pewnie wstąpiłaby w niego większa wola życia – argumentowała. Poszliśmy razem do szkoły. Było już po posiedzeniu Rady Pedagogicznej, która podjęła już wszelkie decyzje. Wyłuszczyliśmy jednak rzecz dyrektorce i wychowawczyni. No przecież, gdy przebywał w Centrum Zdrowia Dziecka, to najpewniej tam się uczył. Przecież rodzice mogli przywieźć zaświadczenie ze szpitalnej szkoły, ze stopniami, na tej podstawie można by było wydać mu świadectwo – nauczycielki nie mogły zrozumieć owego niedostatku zainteresowania rodziców. Obie panie miały jednak również ludzkie podejście do życia, bowiem zdecydowały: Jeśli rodzice przywiozą zaświadczenie ze stopniami Zbyszka z CZD, to zwołana zostanie Rada Pedagogiczna, która rozpozna jego sprawę. Matka przywiozła zaświadczenie. Pamiętam, była to kartka wyrwana z zeszytu, tylko z podpisem jakiejś nauczycielki i informacjami: język polski – 3,2,3; matematyka – 3,2,3; i jakiś jeszcze jeden przedmiot z podobnymi stopniami. Zaniósłem ją do szkoły. Wystarczyło. Zbyszek świadectwo dostał. I żyje. Dzięki sercu Elżbiety, która pomogła mu uwierzyć w ludzi, dając mu lek wielce pomocny w pokonaniu choroby.

Sama dla siebie, niestety, takowego nie znalazła. Oczywiście, jako lekarz-sąsiadka opiekowała się niemal na co dzień moimi córkami, które w dzieciństwie często zapadały na różnego rodzaju grypy, anginy, przeziębienia. Ciocia Ela zawsze pomagała im zdrowieć, a przy tym pocieszała. Nawet gdy już były w szkołach średnich. Kiedyś jedna z córek poszła na wagar, co potem skończyło się niezbyt dla niej sympatycznie. Elżbieta była świadkiem bury i, jak to ona, uzależniła się nad „biedaczką”: A przyszlabyś do mnie, dałabym ci zwolnienie – stwierdziła, dając tym samym dobrą radę na przyszłość potencjalnej wagarowiczce. Wtedy Elżbietę skrzyczałem. Może nie tak bardzo, ale jednak: że taką obietnicą zachęca do wagarowania. Do dziś żałuję tego mojego wybuchu, pełna dobroci Ela nań nie zasłużyła. Ostatni raz widzieliśmy się 8 lipca 1997 roku, w jej imieniny. Zapraszała zwykle niewielkie grono przyjaciół. Było sympatycznie. Następnego dnia poczuła się źle, zawieziono ją do szpitala onkologicznego w Warszawie. Już stamtąd nie wyszła. Nowotwór dopadł ją kilka lat wcześniej. Przeszła dwukrotną chemioterapię i zdawało się, wszystko wróciło do normy. Zaczęła nawet pracować i cieszyć się życiem. Niestety, białaczka jest podstępna. Odezwała się w chwili zupełnie niespodziewanej. Kilkumiesięczna kuracja nie przyniosła pozytywnego efektu. Elżbieta Ulatowska zmarła 2 lutego 1998 roku. Nie miała jeszcze 53 lat. Nawet w ostatnich dniach życia myślała o innych.

Pod sam koniec stycznia odwiedził mnie w redakcji młody mężczyzna, na oko trzydziestoletni. Nazywam się Andrzej Stepiński – przedstawił się. Przysłała mnie do pana doktor Ulatowska. Co pan tu wygaduje – przerwałem mu. Doktor Ulatowska pewnie umiera w warszawskim szpitalu! Tak, leżymy na jednym oddziale – wyjaśnił. Tylko że ja dostałem szansę na życie. Zaleczono mi białaczkę, zakwalifikowano do przeszczepu szpiku. Ale jest jeszcze jeden wymóg. Okazało się, że droga do jego przeżycia była skomplikowana. Lekarze specjaliści, kwalifikując go do przeszczepu, zrobili dokładny wywiad o jego sytuacji rodzinnej, domowej. Okazało się, że Stepiński, wraz z żoną i dwójką potomstwa: synek miał cztery latka, córeczka półtora, mieszkają w jednym z poniemieckich bloków, w jednym tylko pokoiku. Łazienkę dzielą z sąsiadami. Nie jest to nic nadzwyczajnego w Ciechanowie, ale jeśli pacjent nie będzie miał co najmniej jednego pokoju dla siebie, w którym przez rok mógłby izolować się od zewnętrznych mikroorganizmów, nie przeżyje – wyjaśniał mi potem jeden z onkologów, do którego się zwróciłem. Po przeszczepie należy brać cyklosporynę, która sprawia, że organizm nie odrzuca przeszczepu, ale

jednocześnie prawie niweczy odporność. Byle bakterie, które dzieci przyniosą z podwórka do domu, mogą go zabić. Nie mam innych szans na dwupokojowe mieszkanie, jak tylko przydział z puli komunalnej przez władze miasta – informował Stepiński. Doktor Ulatowska powiedziała, że pan mi na pewno pomoże.

Trzy dni potem Elżbieta Ulatowska już nie żyła. Wiara Stepińskiego w skuteczność mojej pomocy była dla mnie niczym legat w testamencie zmarłej. Byłem radnym Rady Miejskiej. Znalazłem czterech kolegów, gotowych mnie poprzeć w uchwaleniu uchwały o przydzieleniu Stepińskim mieszkania komunalnego poza kolejnością, z uwagi na niezwykle okoliczności. Procedowaliśmy na marcowej sesji nad tym nadzwyczajnym przypadkiem. Wniosek mój spotkał się z ostrymi sprzeciwami, m.in. radnej Florentyny Kalaty, tak ponoć kochającej ludzi, a także społecznego przewodniczącego miejskiej komisji mieszkaniowej Andrzeja Żebrowskiego. Słyszałem i takie kontrargumenty, że Stepiński chce wyłudzić od miasta mieszkanie. Jest on człowiekiem, który tonie – mówiłem wówczas. I utonie z pewnością, jeśli nie podamy mu ręki. A wtedy ja przyprowadzę na sesję jego dzieci – sieroty, które państwa radnych zapytają: Dlaczego nie podaliście naszemu tacie ręki? Z pewnością by żył. One są zbyt małe, żeby o to zapytać, ale ja zapytam w ich imieniu.

Odbyło się najdziwniejsze głosowanie w historii rady. Za było pięć głosów, przeciw cztery jednak reszta z 32-osobowej RM obłudnie się wstrzymała. Uchwała formalnie przeszła. Tak nikłe jednak poparcie nie mobilizowało Zarządu Miasta do działania i mało komu zależało na jej wdrożeniu. Stepiński był operowany, szpik mu przeszczepiono. Mieszkał dalej w tym jednym pokoiku, z dziećmi. A dzieci jak to dzieci, przecież nie da się ich utrzymać pod kloszem. Musiały rzeczywiście przynieść jakieś mikroby. Andrzej Stepiński zmarł w połowie lipca. Czuję się źle. Do dziś zresztą tak się czuję, gdy wspominam tamtą historię. Elżbieto, jeśli patrzysz gdzieś z zaświatów na Ciechanów, wybac mi, że Cię zawiodłem.

Mimo obietnicy nie zaprowadziłem też na sesję dzieci Stepińskich w celu zadania wspomnianych pytań. Rada zakończyła kadencję pod koniec czerwca. Jeszcze gdzieś z za grobu dobrotliwa „ręka” Elżbiety Ulatowskiej sprawiła, że zająłem się równie trudną sprawą. „Nadała” mi ją doktor pediatra Bożesława Skibniewska, koleżanka Ulatowskiej. Rzecz dotyczyła zbierania pieniędzy na leczenie Milenki Różak. To jest dawna pacjentka Eli, z pewnością gdyby żyła, zwróciłaby się do ciebie o pomoc – mówiła doktor Skibniewska. Zająłem się sprawą. I choć radni miejscy też rzecz zlekceważyli, uznając np. że ważniejsza jest budowa pomnika św. Piotra to jednak nie wszyscy byli obojętni. Udało się dzięki kampanii „Tygodnika” trafić do dziesiątków ludzi życzliwych, dzięki których ofiarności „fundowaliśmy” niezbędne w kuracji hormony, o rocznej wartości niemal małego fiata. Dzięki czemu Milenka jest dziś w pełni zdrową dziewczyną. Historię tę przytaczałem na łamach „TC”, jeśli obecnie ją wspominam, to w kontekście wspomnień o doktor Ulatowskiej. Ona bowiem też ma w niej jakiś pozytywny udział. Elżbieta Ulatowska życzyła sobie, żeby pochowano ją w rodzinnym Szczytnie, na Mazurach. Spoczywa w pobliżu grobu Krzysztofa Klenczona. Synowie po skończeniu studiów wyjechali z Ciechanowa. Również, z racji pracy, wyprowadził się do Warszawy mąż Eli – Janusz. A więc właściwie nie pozostał już po niezwyklej pani doktor żaden ślad. Chyba że w ludziach, których leczyła. Lekarstwami, a także swą niezwykle życzliwością i ciepłem. I w sercach grona przyjaciół. To dla nich postanowiłem podzielić się wspomnieniem o Niej. I nie tylko dla nich.

STEFAN ŻAGIEL

09.02.2008 numer 5 TC